



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebena i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA

Przy takiej pogodzie można *spleenu* dostać, zazięwać się na śmierć, zakatarzyć na całe życie i narazić najpobliższemu czytelniczkom, jeżeli się pisuje feljetyony, jak ja.

Kto tu potrafi nie być nudnym, grymasnym, sennym i rozdrażnionym, kiedy pod nogami błotko chlupie, jak czekoladowa marmolada, a nad głową niebo ma barwę siną, jak cera śledziennika, chorującego na nieuleczalny katar żołądkowy.

Porównania prozaiczne, wiem o tem, ale jak się tu zdobyć na poezyą w takich warunkach, kiedy człowieka wrażliwego na zmianę aury wszystkie passye porywają.

Jeżeli psy mają kanikule w Lipcu, to ludzie w naszym Listopadzie mogliby obłądu dostawać.

Śliczną bywa ta polska jesień i wcale przyjemną polska zima, kiedy bywa, ale to się teraz co kilka lat zaledwie zdarza.

Nasza fatalność zepsuła nam nawet klimat.

Wymyślaliśmy też takim klimatowi zeszej niedzieli do spółki z p. Wodzińskim; jedyna to spółka w tych czasach, która się udaje bez ryzyka.

Zupełnie, jakby kto zaczarował, lub przekupił Danaidy na przekór właścicielowi Tattersalu, i psuł mu drugą z rzędu niedzielę, przeznaczoną na rozrywkę dla dzieci. Podziwiać bowiem musiałem i tak owe matki, które swoim pociechom pozwoliły na „ochotę“ przy takiej pogodzie i same z niemi się wybrały do tego zimowego ogrodu na Ordynackim, aby zapomnieć na kilka godzin,

że deszczyk mży od poranku i mżyć będzie bez ustanku, w nocy może przeschnie wszędzie, lecz ze świtem... znów mżyć będzie...

Co do tej niedzielnej „ochoty“ naszych dzieci, to przyznam się, że coraz więcej nabieram do niej przekonania i pociągu.

Dwie rozrywki, które się dotąd odbyły, wykazały pod względem pedagogicznym wyższość nad letnimi zabawami w Zwierzyńcu i przekonany jestem, że reformy zaprowadzone w Tattersalu uwzględnione zostaną w przyszłym roku podczas letnich zebrań w Ogrodzie zoologicznym.

Pójdźcie i zobaczcie całe urządzenie tego dziecięcego salonu, skromne, ale bardzo gustowne, usiądźcie na jednej z ławek okalających arenę wyslaną płóciennym kobiercem i przypatrzcie się tym ewolucyjom i igrzyskom małych Oherubinków i Amorków pod kierunkiem pp. Olszewskiego i Wodzińskiego, a przekonacie się z pewnością, że serca wasze razem z temi dziećmi skakać będą i weselić się, i weźmie was ochota, jak mnie, całować te rumiane, uśmiechnięte buzie, zchwycić za rączki pierwsze lepsze bobo i pójść z nim gęsiego przy dźwiękach siarczystego marsza, który strażacka orkiestra wygrywa na galerji.

„Ochoty niedzielne“ Milusińskich (pozwalam sobie ten termin podsunąć, zamiast zabaw, rozrywek i t. p.) mają tę dobrą stronę, że dzieciom naszym podają sposobność do używania prawidłowego, zdrowego ruchu, którego niestety nam wszystkim, starszym i młodszym braknie.

Dodawajmy wszelkimi sposobami zdrowia i sił młodemu pokoleniu, bo to najpewniejsza spuścizna, najlepsze dziedzictwo, jakie im na przyszłość zostawić możemy.

Ktoś więcej złośliwy, niż dowcipny, z powodu rozrywek dziecięcych w Tattersalu, powiedział: „Bawmy się dziećmi“; zapraszam go na przyszłą niedzielę z sobą, aby sprostował niesłuszną insynuacyą i swoje słowa zamienił na hasło: „Bawmy

się z dziećmi“... Nie przyjdzie mu to trudno po godzinie pobytu w tym miłym świątku, który nad podziw nie przypomina hałaśliwej i niesfornej dzieciarni, ale raduje oko i serce wdziękiem, układnością, urokiem tych malutkich ludzi, którzy nas kiedyś zastąpić mają i wyprzedzić na drodze życia.

Dla obserwatora, fizjonomisty, malarza i pedagoga zajmujący tu materiał do studyów.

Jakiż mi temat wdzięczny choć smutny podsunął widok ślicznego chłopczyka, z twarzączką widzianą kiedyś na obrazach Murilla, czy portretach Van-Dycka, który przy matce siedział cichutko, grzecznie i tylko oczkami biegał za gromadką rówieśników swoich a poznać było, że mu się serce wrywa do wspólnej zabawy.

Garbusek jakiś ściagał się z innymi, a on biedaczek musiał siedzieć i ruszyć się nie mógł z miejsca i miał minę aniołka ze złamanem skrzydłem, bo... dwie kule stały obok niego.

Los bywa czasem srogim ojczymem dla najlepszych dzieci.

Miałem wielką chęć chromego malca chwycić na ramiona i pożyczyc mu nóg swoich; niechby się uśmiechnął weselej i zapomniał o swoim kalectwie. Tyle mu razy ono w życiu przypomni się jeszcze...

Ale dość o tem, do tych tematów będę mógł wrócić jeszcze po każdej niedzieli, tymczasem są inne, które musiałyby uleż przedawnieniu, gdybym z obowiązku o nich nie wspomniął dzisiaj.

Jakżeż pominąć dwie wystawy, zajmujące obecnie całą prasę, całą publiczność i gromadę reporterów, wystawę w Muzeum i drugą szkiców!...

W naszej prasie *Kurier Codzienny* uczcił Wystawę i Muzeum najbardziej, wydając zeszej niedzieli cały osobny numer wystawowy z portretami wszystkich członków komitetu.

Nie kuszę się wcale występować tu w roli szczegółowego sprawozdawcy, bo ani kwalifika-

cyi do tego nie posiadam, ani miejsca tyle nie starczy; zresztą zapewne wyręczy mnie ktoś kompetniejszy w sprawozdaniu.

Skorzystam tylko ze sposobności, by pokłonić się Komitetowi Muzeum za pomnikowe dzieło, jakiego dokonał w wystawieniu gmachu i urządzeniu instytucji, służącej pożytecznie i coraz lepiej przemysłowi naszemu i rolnictwu. Powiedział ktoś kiedyś, że niema społeczeństwa, któreby tyle rzeczy robiło przez pojedynczych prokurentów, co nasze; i miał wielką niestety słuszność. Nasz ogół przypomina mi łańcuch niespojony jeszcze z luźnych ogniw; nie na całym łańcuchu też, ale na jego kawałach sprzężonych ze sobą, a częściej jeszcze na pojedynczych ogniwach, większych lub mniejszych, muszą się wieszać ciężary, któreby cały ogół dźwigać powinny.

Jednym z takich ogniw kutyh, silnych, wytrzymałych jest między innymi najglówniejszy fundator dzisiejszego Muzeum, prezes jego od samego zawiązku, hr. Ludwik Krasieński, którego staraniem i kosztem stanął nowy gmach na godne pomieszczenie instytucji założonej przed laty jedenastu przez grono ofiarnych obywateli.

Koszta urządzenia dzisiejszego Muzeum przemysłu i rolnictwa dochodzą do poważnej summy 200,000 rs., które w przeważnej części wpłynęły drogą otwartego kredytu z kassy hr. Krasieńskiego.

Członkiem instytucji, mającej ważne zadanie opiekować się naszym przemysłem i rolnictwem, będącej własnością ogółu może zostać każdy, opłacający składkę 25 rs. rocznie.

Wiecie też, ilu uczestników popiera obecnie tę instytucję na użytek całego kraju założoną, zajmującą się tak żywotnymi jego interesami?... za ledwie 75, pojmujących należycie swe obowiązki obywatelskie. Na więcej nas nie stać w tym kraju, który wyręczać się lubi jednostkami, a który na szczęście ma jeszcze takich Krasieńskich.

Ubiegłe dziesięciolecie przedstawia się wcale zaszczytnie w rocznikach warszawskiego Muzeum, które skromnie rozpoczęło swoje istnienie przy placu Krasieńskich w najętym lokalu, a dzisiaj posiada swój własny pałac po magnacku i z niezwykłym komfortem urządzony.

Organizacja tej pożytecznej instytucji wzrosła szybko; dzisiaj posiada ona laboratorium chemiczne pod dzielnym kierownictwem N. Milicera, stacją oceny nasion, stacją meteorologiczną, gabinet fizyczny. Z inicjatywy dyrekcji muzealnej odbyło się ośm specjalnych wystaw, urządzono kilka cyklów prelekcji fachowych, zaprowadzono stałą naukę rysunków, z której co roku korzysta około 150 osób w rzemiośle zatrudnionych.

Na gruncie dawnego klasztoru bernardyńskiego wznosił się wspaniały gmach, a dawna loża wystawowa Towarzystwa zachęty sztuk pięknych przy Krakowskim Przedmieściu stała się, jakby przedsiönkiem pałacu, który ją w rozmiarach sto razy dzisiaj przerasta.

Z pociechą wszyscy, z dumą niektórzy, możemy patrzeć na ten gmach muzealny, który jakby cudem, z niczego niby, ale z dobrej woli przeważnie wypiętrzył się tak wysoko i podwoje swoje otworzył dziś dla całej publiczności warszawskiej, ozdobiwszy się wewnątrz na przyjęcie spodziewanych gości wszystkim, co najcenniejszego mógł w tej chwili dostarczyć nasz przemysł i nasze rękodzielnictwo miejscowe.

Od góry do dołu, całe Muzeum zapełniło się okazami swojskiej przemysłu; może nie wszystko tak wypadło pomyslnie, jak sobie inicjatorowie wystawy życzyli, może całość szwankuje pod względem wypełnienia wszystkich działów konfekcji, urządzeń domowych i t. p., ale wina w tem najglówniej interessowanych przemysłowców, którzy nie pośpieszyli do tego konkursu i, jak najczęściej się zdarza, obojętnie go traktowali, a teraz zapewne żałują.

Najciekawszy dział wystawy przedstawiają prace kobiece, pomieszczone w osmiu salach drugiego piętra. Wierzyć się nie chce, że tyle zrobiono postępu w rozmaitych kierunkach miejscowej produkcji u nas, rugując wyroby zagraniczne, a jakas błoga radość i zadowolenie prze-

muje widza, rozglądającego się po obwieszonych ścianach, zapełnionych stołach i gablotkach, które szczytą się robotą rąk kobiecych; z uśmiechem powiada sobie:

— Patrzcie, jak one pracują, jak się nauczyły pracować...

Ozdobne meblarstwo, koronkarstwo i galanteria najcenniej reprezentują nasz przemysł miejscowy; wystawa nie ma systematycznego podziału i charakteru, jest z konieczności trochę chaotyczną, ale daje pojęcie, czego dziś znaleźć i wymagać już można u naszych rzemieślników i fabrykantów. Znać nawet dość liczne ślady oryginalnej inwencji czy to w biurku, będącym zarazem maszyną do szycia, czy w bilardzie, który daje się zamienić na stół do kolacji.

Wystawa muzealna będzie miała niewątpliwie powodzenie, zwłaszcza po zaprowadzeniu oświetlenia gazowego na drugim piętrze, co umożliwi zwiedzanie jej wieczorami, bo słońce, jakby się oddało w entrepryzę towarzystwu dessauskiemu, świeci za dnia, niby latarnia gazowa o zakurzonych szybach.

Traci na tem wiele wystawa szkiców, dla której najlepszą reklamą są... złodzieje, kradnący obrazki chyba przez amatorstwo, nie z chciwości.

Musiano zwiększyć czujność służby wystawowej, aby od takiego nabywania dzieł sztuki uchronić artystów naszych.

Przyznam się, że najciekawsze dla mnie na tych wystawach bywa zastosowanie sztuki do przemysłu, praktyczne spożytkowanie talentu i pomysłowości, w którym celują zazwyczaj kobiety. Bardzo cenię tych panów artystów, co to z fantazją od niechcenia, jakby kaprysem wprawnej ręki, z kilku kleksów pędzla lub dotknięć ołówka tworzą niekiedy prawdziwe cacka malarskie lub rysunkowe, ale z nimi spotykać mi się zdarza dość często w ciągu roku; tymczasem dział malatury kobiecej znajduje jedyną sposobność popisu na tej wystawie specjalnie. Z przyjemnością badam postęp w tym kierunku i cieszę się, widząc, jak pani X. lub pn. Y. coraz gustowniej ozdabia pędzelkiem wachlarze, pudełka, wycieraczki do piór, notyski i rzeczy pospolitego użytku zamienia na artystyczne drobiazgi, nie obawiające się więcej konkurencji z zagranicą.

Przed laty dziesięciu ani się śniło nikomu, że się potworzą tu takie specjalności, że starczy na nie sił i zdolności, że to, co było przyjemnym talentem dylletantek w salonie, stanie się poważnym zawodem i nie ku pożytecznemu zabijaniu czasu, ale jako środek utrzymania służyć może.

Tegoroczna wystawa szkiców jest znowu krokiem naprzód, a przyszłorocznej życzę, aby o dziesięć wyprzedziła wszystkie swe poprzedniczki.

Powstał projekt założenia w Warszawie szkoły rzeźbiarskiej; nie ośmielam się powątpiewać o zdolnościach do plastyki naszych pań, ale nie spodziewam się wielkich rezultatów z tego.

Rzeźba, dłuto, młot, marmur—wymagają i siły większej, i indywidualności twórczej odmiennej; jakoś nie wyobrażam sobie dobrze tej artystki, wykuwającej Mojżesza, czy Laokona w swojej pracowni. Natomiast ten mniejszy filigranowy rodzaj, ten Benvenuto—Cellinizm w sztuce mógłby doskonale się rozwinąć pod delikatnymi paluszkami przyszłych naszych rzeźbiarek.

Niejednokrotnie dziwiłem się, dla czego tak mało kobiet poświęca się u nas jubilerstwu, dla czego nie słyzałem o żadnej cyzelerce wydoskonalonej, tak samo jak w przemyśle nie widziałem ani jednej zegarmistrzyni; a przecież te zajęcia wydają się tak właściwe dla płci pięknej, przewyższającej nas cierpliwością, dokładnością i smakiem niejednokrotnie.

Powoli dojdzie i do tego, czekajmy; najtrudniej o pierwszy przykład i pierwsze powodzenie zachęcające.

Warszawa żyje obecnie sztuką, używa wrażeń estetycznych i na brak ich skarżyć się nie może. Wkrótce pomiędzy naszymi miłośnikami malarstwa zakotłuje się i zaroi, jak w mrowisku, gdy jednocześnie dwaj mistrze pędzla, Matejko i Siemiradzki staną obok siebie na wystawie w Salonie Towarzystwa; pierwszego „Dziewica Orle-

ńska” załatwia już podobno na komorze swoje formalności pasportowe, drugi nadesłać ma niebawem swego „Chrystusa w domu Maryi i Marty.”

Gwałtu, ileż się posypie recenzji, studyów, krytyki... słyżę już szelest piór w powietrzu, nasza hussarya krytyczna szykuje się do ataku.

W prasie zaś naszej nowe ma zadrgać życie, przez duże Ż; będzie niem nowy tygodnik literacki pod redakcją pp. Miriama (Zenona Przesmyckiego) i Teodora Paprockiego, znanego z ruchliwej działalności księgarza-wydawcy.

Chwała Bogu, może odżyjemy w tem „Życiu,” mającemu skupić w sobie najwybitniejsze utwory współczesne z dziedziny poezji, powieściopisarstwa, nowelistyki, oraz studia i prace estetyczne, dotyczące literatury pięknej. Redakcja, oile mi wiadomo wzięła sobie za cel „pielęgnowanie lepszej, idealniejszej strony ducha ludzkiego i przeciwdziałanie wznagającej się coraz bardziej apatii.” Życzę powodzenia.

Na zakończenie znowu dwa krzyżyki postawić muszę w moim kąciku nekrologicznym.

W Paryżu zmarł ojciec Semeneńko, przełożony zakonu Zmartwychwstańców, gorliwy kapłan, myśliciel, kaznodzieja i uczony, sędziwy starzec, ongi rówieśnik Mickiewicza, Zaleskiego Bohdana, całej plejady poetów i wybitnych znakomitości.

W Krakowie zaś zakończył żywot Honory, Adam Kirkor, historyk, archeolog, publicysta, były redaktor *Kuryera Wileńskiego* i wydawca „Teki wileńskiej,” znany pod pseudonimem Jana ze Sliwina, pisarz w polskim i rosyjskim języku. Od kilkunastu lat osiedlił się w Krakowie po powrocie z Petersburga; społeczeństwu swemu i literaturze chciał służyć z dobrą wiarą. Środki, jakich używał ku temu, niech oceni przyszły historyk.

Pokój zmarłym!..

Quis.

CIEŻKIE CZASY.

Praca kobiet,

(Dokończenie).

Węzeł małżeńskiego związku zadzierguje miłość. Tak przynajmniej być powinno, tak w zasadzie przyjmować to należy, i tak nawet dzieje się po większej części. Słodkie to uczucie jest najwonnejszym, najpiękniejszym kwiatem ludzkiego istnienia na ziemi i życie, które go nie otrzyma we wzajemności tkliwej, jest smutnem, wydziedziczonem z najprawdziwszego, najdroższego człowiekowi szczęścia. Kobieta, idąca za mężem, otrzymuje je—wprawdzie daje i ona, ale niemniej bierze i powinna też to czuć, powinna pamiętać o tem wdzięcznie. Łączącym się ze sobą zdaje się w chwili pierwszej, że należą do siebie glównie przez miłość i dla miłości, ale zupełnie to tak nie jest, bo ziemia to nie ogród rajski, nie może zatem dawać rajskiego istnienia i małżeństwo też ma inne jeszcze strony swoje: społeczne, obywatelskie, rodzinne. Dom, który mąż zgotował dla towarzyski swego życia, to miejsce, gdzie ma się z czasem wychodowywać przez pokolenia młode przyszłość społeczeństwa, i zarazem to jeden z warsztatów społeczeństwa tego pracy.

Kobiecie, klękającej u ołtarza, aby przysięgać wybranemu mężczyźnie miłość, wierność i nieopuszczenie go aż do śmierci, należy to czuć, wiedzieć o tem. Miłość i wierność przysięga, ale nie znaczy to, aby cała jej cnota małżeńska zawierała się w miłości, jedną stroną wiernej. To grunt pierwszy, to podstawa pod wszystko inne, ale gdy usta jej wymawiały, że nie opuści męża aż do śmierci, przyrzekała ona, że będzie z nim zawsze i wszędzie, że zatem pójdą razem na dolę i niedolę życia, na jego trudy i pracę, obowiązki często twarde, surowe. Miłość prawdziwa i rzeczywście wierna już sama do tego skłania i

tego uczy, ale bywają serca małe, które mogą wydawać i małą też tylko miłość, zawierającą się w zadowoleniu osobistym i znikającą, gdy tego nie otrzymują; są istoty niższe, wysoko kochać nie zdolne; są umiłowania rozmaite, obok owej miłości postawione, natury egoistycznej dotyla, że miłość ową głuźszą i poddają pod swój rząd: pod rząd własnych pragnień i pojęć o szczęściu, i dlatego też rota przysięgi ślubnej, aby być wyraźną, obejmuje przyrzeczenie trzecie nie rozdzielanie się nigdy—więc i w pracy. Kodeks moralnych przekonań społeczeństwa mieści paragraf, że mąż obowiązany jest zapewnić byt rodziny, zarabiać na jej utrzymanie, ale bierze się tu tylko ta strona pracy i zarobku, która na zewnątrz występuje, jest przeciwieństwem drugą, drugi zarobek u domowego ogniska i do tego żona obowiązana jest nie tylko już przez serce, ale przez przysięgę dobrowolnie złożoną.

Pismo chińskie, które jest obrazkowem, na oznaczenie wyrazu „małżeństwo“ maluje czytelnikowi parę wołów, w jedno jarzmo wprzęgniętych i symbolika to, przeciw której nie powinna występować żadna z tych kobiet, która się równości praw z mężczyzną dobija. Mysłcieli chiński pojął życie poważnie i głęboko, poważnie i głęboko pojmując też związek kobiety z mężczyzną. Kazał im razem i jednakowo orać rolę pracy, i wprawdzie przedstawił to w sposób smutny i surowy, ale może i w Chinach było wtedy ciężkie czasy!.. My dziś je mamy i jak srogo, jak okrutnie gniojące... Opuszczają się ciężarem swoim na najdroższe nasze ukochania, mogą zdruzgotać to, co mamy najszacowniejszego i kobieta powinna wraz z mężem stanąć do podziwiania ich tak, aby się to nie stało. Lecz nie przez pracę pozadomową, poza rodziną, bo ta jest dla samotnej i nawet mężatce nie godzi się wydierać jej z rąk tamtej i stawać z nią do konkurencji. Wyciągnęła ona z koła życia wyższej wygrany los lepszy i ma własne swoje pole działania, zawsze plonu pewne i nigdy w zarobkach swych nie zawodzące—pole, z którego zbiegać jej nie wolno do ostatniej już chyba konieczności, bo to właśnie byłoby ruiną jednego z tych porządków moralnych, który jest podstawą bytu ludzkiego w formie, której ciężkie czasy rozbić nie powinny.

Pewne zamieszanie pojęć o pracy kobiecej, powstałe z ruchu emancypacyjnego, przyniosło rodzinom to zło, że gospodarcza praca kobieca, zaczęła być mniej cenioną, niż niegdyś, że zaczęła być zarazem uważaną za coś niższego. Wśród społeczeństw demokratyzowanych, wśród ekonomicznych teorii o podziale pracy, jest to anomalia, ale umysły płytkie a gorące, kobiety leniwe, lekkie, światowe—egoistki chłodnego serca, dla których przyjemność, używanie własne górowało po nad wszystkim, przyjęły chętnie to pojęcie rzeczy i uczyniły je przekonaniem swoim. Przecież w chwilach ciężkich kłeski i zachwianego bytu rodzin, umysły poważnieją, z głębi serc wydobija się co tam jest lepszego uczucia, co tam jest miłostnego ciepła i kobieta powinna wtedy stanąć na wyłomie losu obok mężczyzny w obronie najdroższych, najświętszych interesów, nie rodziny tylko! Zwrot do oszczędności czuć się daje, przyjmuje się mniej gości, kupuje się mniej eleganckich fatałaszków, zmniejsza się liczbę służ, ale jest jeszcze wśród tego wszystkiego pewien niedobór moralny. Ciężka konieczność przynusza do tego; mówi się nawet głośno, o złych czasach, które nie pozwalają żyć po dawnemu, przeciwieństwo tkwi na dnie tego wszystkiego, jakgdyby pewien wstyd obecnego naszego ubóstwa. Gdybyśmy się wstydzili tego, że nieopatrzni i bezmyślni nie zebraliśmy żadnych zapasów, że zużywaliśmy wszystko, nie licząc się z możliwością zmiany, że żyliśmy z dnia na dzień, byłby to wstyd zdrowy i dobry, świadczący, żeśmy wzięli do serca przebywanie przesilenie, z którego możemy powstać, może wzmocnieni, silniejsi, niż byliśmy dotąd. Ale nie... wstydzimy się wzajem przed sobą, że nie możemy już wieść życie na skale dawną; resztki posiadanego mienia zużywają się na możliwe maskowanie smutnego położenia, jakkolwiek przyznajemy się niby do niego. Dopiero ostatnia już ruina wytrąca nas zupełnie

z dawnego trybu istnienia urządzanego na skale pańską.

Nie umiemy odważnie i mądrze odciąć wczorajszego naszego używania od dzisiejszej biedy, i to czyni ją nędzą, która mnoży upadki i gruzy do gruzów dodaje. Otóż kobieta, która niewątpliwie tworzy obyczaj, jak to zaznaczył jeszcze stary Monteskiusz—kobieta małżonka, matka i obywatelka niech stanie w tym do pomocy mężowi i dom swój, życie rodzinne i towarzyskie niech od razu przetworzy, skalę jego zmieni. Nie byłoby to marnowaniem wartości, gdyby się kosztowniejszych sprzętów, sukien, przyborów życia ludzi bogatych pozbyć choć za wół darmo, choćby nawet wcale za darmo, choćby je pałac na stosach, byle tylko nie przeszkadzały nam w istnieniu nowem, które rozpocząć musimy, jeżeli chcemy żyć, jeżeli niema wybić społeczności naszej godzina ostatnia! Gdy raz uprzętniętem już zostanie to, co jest, jakoby dawnego bytu zachowaniem świadectwem, a co obecnie może nam tylko drogę pracy utrudniać, zawalać ją szczątkami rzeczy przez młot losu zgruchotanych, i w sercach słabszych nieć żal niedobry, denerwujący, który siłę do pracy odbiera—staniemy dopiero mocno na twardym gruncie nowo rozpoczynanego życia; dopiero obyczaje nasze ulegną reformie koniecznej, tak w treści, jak w zewnętrzny pozorze. Póki ten pozor choćby tylko cieniem cienia utrzymywać się będzie, póty nie może być mowy o dwóch koniecznych, żywotnych naszego istnienia przemianach: dorośli nie będą mogli pracować tak, jak to w nowem położeniu jest koniecznością, dzieci nie mogą chować się odpowiednio do czekającej ich przyszłości. Są amputacje nieodzownie potrzebne, aby organizm cały nie uległ rozkładowi; łatwiej jest, zwłaszcza nam, naturom więcej entuzjastycznym niżeli wytrwałym—zdobyć się raz na pewien heroiczny akt woli, niż ciągle walczyć z marą tego, co w rzeczywistości już umarło.

Jest to zadaniem kobiety dzisiejszej, aby się tak stało—jest to jej pracą obywatelską, aby wytworzyła społeczeństwu swemu inne, do chwili naszego życia społeczne zastosowane obyczaje. Elegancją porzucić, pańskości się wyrzec, towarzyskość transportować na ton inny—to najbardziej naglące potrzeby nasze, o których ona może stanowić, przez które może sobie zdobyć w moralnej historii naszej kartę wiekopomnego uznania i chwały obywatelskiej. Często, bardzo często nawet, mężczyzna nie ma siły zdobyć się na pewne w bycie swoim przemiany z żalu nad kobietą, której, jako istoty delikatniejszej, lęka się zbyt dotknąć, zbyt ucisnąć, ona też powinna dać tu inicjatywę: stanąć przed nim mężna i zdecydowana, aby mu rzec, że ona temu podoła, że ją na to stać przez siłę ducha, co do której słabszą od niego nie jest. To właśnie jest równouprawnienie, tu też powinna duma, ambicja kobiety umieścić punkt ciężkości swojej. Ta, której Bóg dał osiąść najwyższe szczęście życia—szczęście serca, kobieta w rodzinie obowiązana jest dziś do ratowania naszej arki przymierza, tej w którą się składa świętości nie rozbitych ognisk domowych, a z nimi pamiątek rodzinnych, rodzimego obyczaju. Nie trzeba jej nawet szukać sobie do tego jakiejś drogi nowej, stwarzać, jakiś nowy kształt moralny—niech wróci do swego typu, do tradycyjnej naszej postaci kobiety w rodzinie, niech przyłoży rękę do pracy domowej na sposób dawny, niech się tam pełni praca rzeczycywiasta, niech zaspakaja te wszystkie potrzeby rodzinne, którym przemysł domowy podołał dawniej, a więc dziś podołać może, skoro naczelniczka domowego ogniska uczyni to zadaniem swoim.

Gorzej, lepiej to już od niej zależy będzie! Wytworność, wykuint, w rachunek wchodzić nie może w czasach, które zowią się ciężkimi. Tylko to, co by było mniej zdrowem, mniej uczciwem na usunięcie skazanem, mogłoby zostać lecz każdy już wie, że pod tym względem właśnie praca domowa ma ogromną wyższość nad tamtą, poza domową, u której warsztatu nie czuwa miłość, a rząd sprawuje głównie myśl o największej korzyści, otrzymanej możliwie najmniejszym nakładem.

Kobieta pracująca od młodu, kobieta hartują-

ca się w trudzie znojmym od lat wczesnych, więc niewypieszczona nadmiernie, okaże się znów tak zdrową i wytrzymałą jak matki i babki nasze, i obowiązkom swojego przeznaczenia w ludzkości lepiej odpowie, niż się to dzieje obecnie, gdy po większej części tak delikatna jest, jak kwiat cieplarniany, na który nie może zaważyć żaden wietrzyk chłodniejszy, aby go nie zważył. Że spowaźniej moralnie, że się duchem podniesie, że wyrośnie na istotę wspanialszą, piękniejszą wedle miary Fidyasa nie krawca—ręczyć za to można. Ta sława kobiety naszej między narodami, czy to dziś zapracowaną została? Przeszła ona nanas spadkiem, tradycją się utrzymała i prawie możnaby błogosławić te ciężkie czasy, które przez konieczność swoją zagrodzą tę drogę ze spadkiem pochyłości niebezpiecznej, na którą wchodzić począł, cudzoziemcejąc przez cudzoziemską elegancją, szyk i wykuintność. Rodzimy jej kształt wyjdzie może znowu znowu w próbach losu wykuty: szlachetnie wyrosły, szlachetnie podniesiony nad małość gałganka, błyskotliwość raczej, niż głębokość wiedzy. Nie dziś tylko ludzie muszą cierpieć, nie dziś tylko czuła się znoją i twarda praca życia każe się zbroić w hart i odwagę. Z dawnej przeszłości dochodzi nas głos, który o tem świadczy i dawna to niewiasta nasza (Tańska) woła do pokoleń młodszych, załękniionych wobec doświadczeń, które czekają na nie:

Śmiało Amelio! córko ulubiona...

Oto jest ciężar — lecz ty masz ramiona!

M. Ilnicka.

GASNAĆA DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg)

Po całych dniach przesiadywał teraz poeta u przyjaciela; miał swój ulubiony kąpiel, najciemniejszy w całej pracowni i tam godzinami całemi cmił papierosy, czasem drzemał, czasem wpadał w zadumę, a czasem mówił świetne improwizacje na temat, który mu rozmowa z Filipem podsuwała; ożywał się wtedy niezwykle, chrypliwy trochę głos nabierał dźwięku i mocy, niktby słuchając go, nie przypuścił, że to przemawia ów skurczony, pogięty, pozujący na pokrakę Szaleja, którego powierzchowność opuszczona i zaniedbana, jak najgorzej do niego uprzedzała.

Słuchaczem tych rozmów, niemym, biernym, zapomnianym prawie przez obu przyjaciół, był zawsze Pietrek; żywe i sprytnie jego oczy świadczyły tylko o zajęciu, z jakim chwycił każdy wyraz, a usmiek na ustach, zasłaniany skwapliwie ręką namulaną dowodził, że rozumiał nawet subtelniejsze odcienia ironii i humoru Szaleja.

Chłopak sypiał w pracowni; w nocy przy piecu, zakrytej zieloną firanką, miał posłanie i tam skulony, przy świeczce zatkniętej w glinianą grudę, zastępującą mu lichtarz, całe wieczory spędzał nad książkami, których mu Filip do nauki i do czytania dostarczał.

W dzień pomagał swemu mistrzowi w pracy i próbował własnych sił, modelując kroksztyunki, kopiując z wzorów rysunki i kształcąc talent, który nie miał dotąd sposobności objawić się czemś wyraźniejszym.

Posłusznym był, potulnym i cichym nad wyraz, a za Filipa i Szaleja byłby gotów w ogień wskoczyć.

Największą karą dla ucznia były słowa mistrza, wyrzeczone czasem w chwilach podrażnienia:

— Eh, hebes jesteś, nic z ciebie nie będzie!

Chłopak czuł się wtedy w swojej ambicji naj-

boleśniej dotkniętym i łzami zachodziły mu siwe oczy.

On tak pragnął, tak marzył o tem, by zostać kiedys artystą...

Taki dumny był w swojej bluzie powalanej gipsem i gliną, wśród dzieł swojego pana, nauczyciela i opiekuna jedynego, w tej pracowni, która mu się wydawała wspaniałą jakąś świątynią sztuki, a której sama atmosfera miała dlań jakiś niewypowiedziany urok i przejmowała go głęboką powagą.

Najchętniej też w tej pracowni przebywał; nie nęciła go ulica, słońko wiosene, włóczęga po mieście, jak innych chłopców w tym wieku, najlepiej mu było pod sklepieniami klasztornej byłego refektarza, najweselej przy tych dużych oknach, przez które widać było jedynie stary mur z odrapanym oddawna tynkiem, odsłaniającym pokłady cegieł i duży szmat nieba w górze.

W chłopcu tym była artystyczna dusza i niepospolita natura, która kiedyś rozwinąć się miała, jak kwiat z obsłonek, a którą Filip przeczuwał w dziecku, gdy je przyjmował pod swą opiekę.

Pietrek przyplątał się do niego pewnego poranku sam, stanął poddrzwiami i stał nie wiedząc czego.

— Czy ty? — zapytał go artysta, wychodząc jeszcze z kawalerskiego mieszkania swego.

Chłopak podniósł głowę, spojrzął na chwilę w oczy lekliwie i wzrok spuścił ku ziemi; nie odpowiadał, bo nie śmiał, czy nie umiał.

— Czyżże ty?

— Niczyj! — zdobył się po kilku zapytaniach na odpowiedź.

— A jak się nazywasz?

— Pietrek.

— No, a dalej?

Milczał i tylko powiekami łypał zastraszony widocznie tą indagacją.

— Czego tu chcesz?

— Niczego — bąknął malec z dobroduszością dziecka.

— To po cóż tu stoisz?

— Tak sobie — odrzekł przez łyż ustami w podkówkę zciągniętymi.

Filip pogłaskał go po głowie i na uspokojenie dodał:

— To stój sobie — i odszedł, nie zwracając więcej uwagi na Pietrka, ale kiedy w kilka godzin wrócił do domu, zastał chłopaka na tem samym miejscu siedzącego pod ścianą i rysującego zapalką zwęgloną jakies figury na murze.

— Toś ty jeszcze tu? — zapytał.

— A ino.

— Cóż ty tu robisz?

— A nic.

— Czemuż nie pójdziesz do domu?

Chłopak zrobił duże oczy i spojrzął na niego ze zdziwieniem.

— Zkądżeś ty?... mów, nie stój, jak niemy.

Pietrek rozplakał się i szlochając, wyjąkał:

— Pan powiedzieli, żebym stał sobie... ze sobą... że wolno...

Po długich ceregielach zdołał z Pietrka Morelli wyciągnąć tyle, iż pochodzi ze wsi, matulę ma złą, co go bije i jeść nie daje, bo „niemo”, że przyjechali na furze onegdaj na jakiś plac i matula dała mu pół obwarzanka, a potem kazała mu pod studnią czekać na siebie i poszła. Czekał cały dzień, do wieczora, cały wieczór do nocy, potem zasnął pod studnią i obudził się równo ze świtem, a matuli, jak nie było, tak nie było. Czekał jeszcze do rana, wodę pił i obzierał się na wszystkie strony; ludzie przychodzili z konewkami, służące z karafkami, ruch się zaczynał dzienny, a matuli ani widać, ani słysząc.

Głodny był, więc zaczął płakać, ale odpowiadając nie chciał na niczyje zapytania, bo się bał; potem poszedł ulicą jedną, drugą i chodził tak, jak zgubiony pies, nieszczęśliwszy od psa, bo pozabawiony instynktu, któryby go do rodzinnej budy zaprowadził.

Po dwóch dniach takiej tułaczki na bruku miejskim, chłopak dostał się poddrzwi Filipa i tu go szczęśliwa jego gwiazda przywiodła. Artysta zaopiekował się zgubionym Pietrkiem i pozostawił go z litości przy sobie; dorozumiawszy się

jednego z tych dramatów nędzy ludzkiej, co się składają na życie całych mas, nie miał serca odepchnąć chłopca, którego własna matka porzuciła.

Przygarnął go, odkarmił, przydział i odtąd Pietrek pozostał u Filipa, początkowo na „tymczasem”, a później na stały pobyt, gdy zniknęła nadzieja odszukania rodziców chłopca.

I Pietrek nie byłby teraz za nic w świecie powrócił na wieś do matuli; nowe, inne, jaśniejsze życie zażyło mu pod gościnnym dachem Filipa...

Radosna nowina, jaką w liście kustosza wystawy przyniósł dziś swemu mistrzowi, oddziaływała i na niego dziwnie ożywczo i elektryzująco.

Widząc rozpromienioną twarz Morellego, nabrał sam humoru; nawet mu się na rzadką oddawę zebrało, bo po wyjściu Szaleja z pracowni kilka razy wchodził za zieloną firankę i wynosił coś ukrytego w czapce, zbliżał się do Filipa i odlał, ale z widoczną chęcią zwierzenia mu jakiejś bardzo głębokiej tajemnicy.

Nareszcie upatrzwszy stosowną chwilę, zaczerwieniony po same uszy, odezwał się głośno, stając przed Morellim:

— Proszę pana, ja...

Dalej jakoś mu nie szło, więc zamiast wszelkich explikacyj słownych, szybkim ruchem wyjął z czapki małą figurkę glinianą i postawił ją przed artystą. Figurka wyobrażała mężczyznę w rozpiętym paltocie, z rękoma w kieszeniach, z ramionami podniesionymi, na których zwrócona nieco w bok wspierała się głowa, nakryta wymiotą czapką, a uśmiechnięta, wygolona twarz z przymrużonym jednym okiem nosiła wyraz jowialnego humoru.

— Szalej! — zawołał Filip z zdziwieniem, uderzony odrazu podobieństwem całej fizjonomii; — czyje to?

— Moje — wykrztusił chłopak z wielką biedą.

— Twoje?... to nie może być.

— Moje — powtórzył Pietrek z pewną dumą, której to niedowierzanie pochlebilo w tej chwili niewymownie.

— Kiedyżes ty to zrobił?

— O, już oddawna, potrochu, potrochu, co rano, lub wieczorami, gdy pana nie było.

— Jakto, z pamięci modelowałeś?

— Z pamięci, tylko czasem z za firanki przypatrywałem się panu Szalejowi i poprawiałem...

— A czemużes ty mi o tem nie wspomniał?

Chłopcu krew omal nie trysnęła z policzków; czapkę kręcił w palcach, głowę przechylał z prawego ramienia na lewe i po długiej chwili, odważył się szepnąć:

— Kiedy mi wstyd było... albo to co warte!...

Potem jakby dla usprawiedliwienia się dorzucił szybko:

— Ja właściwie dla Stefanka robiłem to na zabawkę.

Filip wziął go za kudłatą głowę i przycisnął do piersi, a chłopak jakby odczuł w tym uścisku pochwałę i podziękę mistrza swego, wybuchnął nagle łzami tłumionej radości, szczęścia i rozkoszy, rzucił mu się do kolan i całować je zaczął z taką namiętnością, że artyście samemu serce żywiej bić zaczęło. Potem, jakby zawstydzony własną śmiałością i tym nieokielzanym wybuchem swych uczuć, uciekł do ciemnej nędzy za firankę, rzucił się na posłanie i głowę nakrył poduszką, by ukryć pierwsze łyż szczęścia i artystycznej dumy.

Stefanek nie ucieszył się niespodzianką, jaką mu Pietrek w tajemnicy tak długo przygotowywał, a którą ojciec przyniósł do domu z rozpromienioną twarzą; dziecko od samego rana było sennie, grymasne, rozdrażnione, rozpalonemi rączkami tarło sobie przymknięte oczki i na nikogo patrzeć nie chciało.

— Co się stało Stefankowi? — spytał Filip piastunki.

— Albo ja wiem, proszę pana; jakiś niehumorny się dzisiaj obudził — odpowiedziała służąca — żeby to nie była gorączka.

Filip wstrząsnął się cały na te słowa; możliwość choroby dziecka przeraziła go do głębi. Drżał na samo wspomnienie niebezpieczeństwa dla Stefanka.

Przyszła mu w tej chwili na myśl uwaga, dotycząca jego samego, że nigdy w życiu żadnej radości nie miał niezamąconej, każdą okupić musiał natychmiast bólem, jakimś smutkiem, rozczarowaniem; los mu zawsze poskąpił całego uśmiechu, całego promienia światła, który padał na jego zamroczone życie, darzył go półuśmiechami szczęścia i radości. Każdy kwiat po zerwaniu usychał i rozsypywał zwiedłe liście, jak zaklęty przez złego czarownika.

Nie pamiętał dnia, kiedy w tak dobrem usposobieniu, z taką roz pogodzoną duszą, jak dzisiaj, wracał z pracowni do domu, a na samym progu czekała go już troska i zmartwienie.

Spojrzawszy na dziecko, instynktem ojca odgadł chorobę.

Stefanek główkę miał rozpaloną, usteczka spieczona, całe ciało pokryte tą barwą karminową, która przy podniesionej temperaturze oznacza gorączkę u dzieci.

Pod wieczór sprowadzono lekarza.

— Czy dziecko miało szczepioną ospę? — spytał doktor Helenę, stojącą ze świecą obok łóżeczka i wpatrzoną w swojego jedynaka z wyrazem tego niepokoju, jaki każda niepewność wytwarza.

Zapytanie to przejęło ją dreszczem.

— Ospę? — powtórzyła niemal z przestachem i cofnęła się instynktownie ku ścianie.

— Czy pan konsyliarz przypuszcza, że to mogłaby być ospa? — spytała szybko z najwyższym zaniepokojeniem.

— Nic nie przypuszczam, tylko zasięgam potrzebnych informacji, — odparł nieco szorstko stary lekarz — więc było szczepione, czy nie?

— Nie — wtrącił za żonę prawie szeptem Filip, którego oczy przebiegały niespokojnie ze Stefanka na doktora i trwożliwie badały pochmurną jego z natury fizjonomią.

— To źle; trzeba było o tem pamiętać — burknął lekarz i zabrał się do szczegółowego badania.

Wzmianka o ospie zatrwożyła jednak Helenę, jak Filipa, tylko w niej z instynktem macierzyńskim, instynkt zachowawczy się odezwał. Niebezpieczeństwo wydawało jej się teraz podwójnem; przypomniawszy sobie, że sama była na nie narażoną, bo i ona nie miała szczepionej ospy, a raczej szczepiona kiedyś się nie przyjęła.

Zaczęła drzeć na całym ciele, i świeca w jej ręku chwiała się i migotała; uczuła, że krew uderza jej do głowy i szybko odpływa znów do serca, jak fala ukropu. Nogi się pod nią zatrzesły.

— Proszę lepiej świecić — prawie rozkazująco odezwał się doktor, badając z kolei zaczerwieniony gardziółek dziecka.

Helena blada, zmieniona, z wyrazem przerażenia w twarzy czekała wyroku lekarza, który zajęty był tylko swym małym pacjentem, krzyżującym przeraźliwie i oblewającym się strugami łez.

— Boże, żeby tylko nie ospa! — modliła się w duchu piękna kobieta w podwójnej trwodze o dziecko i o... siebie.

Doktor powtórnie zbadał puls Stefanka, zmierzył ciepłotę termometrem kieszonkowym, oczy zmrużył, usta wyduł i zadumał się przez chwilę długą, jak wieczność dla obojga rodziców.

— Czy to co gróźnego, panie konsyliarzu? — odważył się wreszcie ochrypłym głosem zapytać Filip.

— Ha, zabaczmy jeszcze jutro, aż się choroba zdecyduje — odrzekł medyk i poszedł do biurka pisać receptę.

— Państwo macie tylko jedno dziecko? — spytał, nie przerywając sobie pisanie.

— Jedno — odrzekli oboje i spojrzeli po raz pierwszy na siebie w tej samej chwili, jakby im jedna i ta sama myśl przeszła przez głowę.

— Posłać do apteki natychmiast — dysponował doktor głosem dowódcy pułkowego — co godzina dawać po łyżeczce, pilnować, żeby malec w nocy się nie odkrywał, dyteć zupełną zachować do jutra. Jutro przyjdę rano zobaczyć; dobranoc.

I wyszedł szybko, nie powiedziawszy ani słowa objaśnienia więcej...

Przyszło to jutro po nocy strasznej niepewno-

ści, nocy nieprzespanej, przesiedzianej u łóżeczka Stefanka, z oczyma badawczo utkwionemi w twarzyczkę dziecka, które zapadało w sen gorączkowy i budziło się z niego, płacząc i żaląc się swym dziecięcym krzykiem na coś, co mu dokuczało nie wiadomo jak i gdzie.

Helena w nocnym negliżyku, z rozpuszczonymi włosami, które złotawym płaszczem pokrywały jej ramiona, chodziła z pokoju do pokoju i rozpylała sole dezynfekcyjne, przysłane przez matkę natychmiast po uwiadomieniu o zachorowaniu Stefanka na przypuszczalną ospę.

W całej rodzinie Okulskich wieść ta wywołała ogólny popłoch.

— Po co oni tego Szypowicza zawezwali! — mówiła Okulska do córek — dobry doktor, ale szorstki, grubijanin; to już widocznie wybór jego. Niedźwiedz do niedźwiedzia ciągnie.

Ta ostatnia przymówka odnosiła się naturalnie do zięcia, któremu za plecami nie szcędzono epitetów w tym rodzaju.

— A już to prawdziwe nieszczęście z tą chorobą! — wyrzekała dalej — Helenka się tam zamartwi i zamęczy przy dziecku; gdzie ona do tego... a nawet pomóż jej wiele nie można, bo jeszcze się ta zaraza rozwlecze po całym domu. Trzeba bardzo ostrożnie, proszę was — o nowe zamartwienie nie trudno.

— Cóż będzie mameczko z rautem jutrzejszym u Milawskich? — wtrąciła nagle Resia.

— Ach, prawda! — Okulska rozpaczliwie w dłonie plasnęła — a cóż?... trzeba napisać, że nie będziemy.

— Ale suknie nowe...

— Może do jutra będzie lepiej — zauważyła Klarcia — nie przesadzajcie tak zaraz. Trochę gorączki, a już strachy, kwarantanna, krzyki; ni by to po innych domach dzieci nie chorują.

— Masz słuszną, zacciekajmy do jutra.

Nazajutrz przed południem Dr. Szypowicz stał się według przyrzeczenia i nie witając nikogo, wprost podążył z przedpokoju do łóżeczka chorego Stefanka, a przesunawszy złote okulary z nosa na czoło, spojrzął na dziecko okiem doświadczonego dyagnosty, rozpiął mu sam koszulkę na piersiach i dostrzegłszy czerwone plamy na ciałku, krótko i węzłowato jednym wyrazem określił chorobę.

— Szkarlatyna.

Zuzia, trzymająca dziecko na ręku, zanosła się od płaczu.

— O ratuj Jezu Nazareński! — i przytuliła do siebie Stefanka, jakby go zasłonić chciała przed tą zmorą i dusicielką niewiniątek. Jak wszystkie dobre piastunki, przywiązana była do dziecka z macierzyńską czułością.

— O mój ty biedny robaczku, a potrzeba ci było zachorować na to! — zawodziła, szlochając — tyła nieszczęścia, tyła nieszczęścia!...

— Cicho być! — ofuknęła ją Szypowicz — zakryj lepiej nożki małemu i nie beczyć na próżno... Cóż z tego, że szkarlatyna?... przyszła, to i pójsć może; będzie się przecież robiło, co trzeba... Proszę o papier i pióro.

I jak kula potoczył się znowu do biurka, przy którym z załamanemi rękoma, z zacisniętymi ustami, błądy, zmęczony moralnie troską, fizycznie bezsennością stał Filip i jak automat bez czucia patrzył przed siebie.

Wszystkie jego myśli wirowały od wczorajszego wieczoru około jednego punktu; świat cały przestał istnieć dla niego, wiedział tylko, że jego najdroższe, jedyne, najukochańsze dziecko jest chore i zagrożone.

Doktor z pod okularów rzucił przelotne, ale bystre spojrzenie na Filipa.

— Pan musisz być cierpiący — rzekł krótko — nie poddawać się... kieliszek wina, filiżanka bulionu, kilka godzin snu... Przy dziecku mogą czuć kobiety.

Napisał jedną receptę, wziął się do drugiej i znowu mówił sentencyonalnie, urywanym głosem:

— Z chorobą, jak z nieprzyjacielem... trzeba walczyć do ostatka... opuścić ręce, to zmoże najsilniejszego... naturze trzeba pomagać...

A potem, zwracając się do piastunki, spytał w nawiasie:

— Czy malec wymiotował?

Odpowiedzi zdawał się nie słyszeć, wstał, podał dwie recepty Filipowi i rzekł:

— Posłać natychmiast do apteki... najlepiej pójdz pan sam, świeże powietrze cię orzeźwi... tylko szybko.

Morelli wyszedł za nim do przedpokoju, zawsze jednako milczący, w gardle go dziś skało, ilekroć chciał przemówić; podał rękę doktorowi i otworzył usta, by powiedzieć:

— Ratuj mi dziecko konsyliarzu — ale słowa uwięzły mu na języku zdrętwiałym; wyjął coś, z czego stary lekarz dorozumieć się musiał raczej, niż usłyszeć ojcowskiej prośby, bo ścisnąc rozpaloną dłoń Filipa, rzekł rąbaną swą dykcją:

— No, no — jutro tu będę... o tym czasie... nadziei nie tracić — nigdy.

Choroba Stefanka rozwijała się szybko, pomimo wszelkich starań i zabiegów; w kilka dni później czerwone plamy pokrywały już całe ciałko dziecka, trawione nieustanną gorączką.

Twarzyczka tylko wolną była od szkarlatu wyrzutów, małeństwo wysuwało obrzmiały i pąsowy języczek, krztusząc się przy przelękanu, oczkami przewracało i jęczało boleśnie, dysząc ciężko i chwytając się piastkami za głowę rozpaloną jak węgiel.

Choroba męczyła je nielitościwie, jakby znęcając się nad chłopczką bezsilnie; każdego dnia wyglądzano na próżno polepszenia i każdy dzień ponurą troskę powiększał.

Dr Szypowicz przychodził regularnie o jednej godzinie przed południem, niekiedy dwa razy dziennie, głową kręcił, coraz mniej ukrywał rozdrażnienie i zniecierpliwienie, coraz nowsze i silniejsze środki przypisywał, ale złe nie ustępowało.

Czasami były chwile, w których zdawało się, że dzieciak przetrwał przesilenie, odzyskiwał przytomność, próbował gwarzyć i wyciągał rączką do figurki Pietrka, jako jedynej zabawki, co go teraz jeszcze pozornie zajmowała, ale to trwało krótko i zdarzało się coraz rzadziej.

Dziewięć dni i nocy Filip prawie się nie rozbięrał i nie kładł w łóżko; do pracowni ani zajrzał. W dzień nie odstępował prawie łóżeczka Stefanka, w nocy siadał pod oknem w fotelu i czuwał, a gdy dziecko usnęło, i jemu zamykały się opuchłe i zaczerwienione powieki, na krótką chwilę; budził go lada szmer, lada poruszenie, lada skwierczenie knota w nocnej lampce.

Zdawało mu się, że ta ojcowska straż przy chorem dziecku jest nietylko obowiązkiem, ale na prawdę posterunkiem, na którym uda mu się spłoszyć gorsze złe, gdyby chyłkiem chciało się podkraść do Stefanka. Obawiał się usnąć; coś mu mówiło, że otwartymi oczyma zobaczyłby nawet śmierć samą, gdyby się przyzacił chciała przy łóżku jego dziecka i wtedy nawet z nią wzięłby się za bary i prędzej sam poległ, niż jedyńską swego oddał jej na pastwę.

Helena pierwszych kilka nocy czuwała także przy Stefanku, ale nie przyzwyczajona do takich wysiłków, zaniemogła wkrótce; migrena, nerwowe dreszcze i mdłości zmusiły ją przebywać w swoim pokoju. Dr Szypowicz zalecił jej spokój.

Z Filipem przez cały czas choroby dziecka prawie, że nie rozmawiała.

Nieszczęście, podobnie jak zbliża do siebie ludzi kochających się wzajem i łączy ich jeszcze bardziej we wspólnym smutku i wspólnych troskach, tak rozdziela tych, pomiędzy którymi więzy uczucia się rozluźniają.

Oboje małżonkowie snuli się, jak dwa cienie obok siebie; im więcej jego gnębiła choroba dziecka, tem więcej ją rozdrażniała. Ta bezsilność wobec natury, widok cierpienia Stefanka, obecność męża, który nad nią górował uczuciem i ojcowską troskliwością, jej własna niemoc i niezaraźliwość wreszcie rozstroili ją zupełnie. Po całych dniach siadywała w swoim pokoju i płakała, skarżyła się na głowę, na serce, próbowała się modlić, ale tylko usta szeptały słowa modlitwy z książki w aksamit oprawnej, myśl od ziemi i rzeczywistości oderwać się nie mogła.

Dziesiątego dnia, dr Szypowicz zmarszczył brwi i przygryzł górną wargę z widocznym wy-

razem zaniepokojenia; w gardziółku dziecka dostrzegł białe plamy, jako zapowiedź blonicy, rozwijającej się w nowym stadium choroby. Twarz mu się zasępiła.

— Żle — mruknął półgłosem i patrząc z politowaniem na Stefanka, mówił do siebie w duchu:

— Ziemia piękne nam rzeczy daje, ale piękniejsze zabiera!..

Dzień cały przeszedł bez zmiany, pod wieczór zdawało się nawet, że gorączka ustawać zaczyna; mimo to w ojcowskim sercu Filipa jakies złe przecucie zagnieździło się od samego ranka.

Patrzył w wybladłą i zmierzniałą do niepoznania twarzyczkę swego syna i przypominały mu się chwile spędzone w pracowni przy wykonywaniu „Anioła śmierci”, przypominało mu się to fatalne podobieństwo w kamiennym dziecku z jego Stefankiem, które go tak wówczas przeraziło, a w którym jakby ostrzeżenie i przepowiednię znalazł wtedy dla dnia dzisiejszego. Straszny ból podgryzał mu serce; bolało go życie, ciążyło powietrze, którem oddychał, paliły łyzy cisnące się do oczu, dławiło go coś w piersiach, jak krzyk gwałtem tłumiony, krzyk rozpacz, bluźnierstwa, skargi na losy i krzywdy, cierpianej niewinnie.

— Za co, z i co?! — szarpało mu się w mózgu i w sercu pytanie skazańca, rozpinanego na krzyżu cierpienia.

I znowu przyszła noc, takasama, jak dziewięć poprzednich; godziny zwolna płynęły jedna za drugą, w pokoju cicho było, na biurku tykotał zegarek Filipa obok zasłoniętej lampy nocnej i całej baterii flaszek i pudełek z lekarstwami. W kącie na ziemi leżała Zuzia, nasłuchując przybranego oddechu dziecka, na fotelu siedział Filip, w trzecim pokoju przez pół otwarte drzwi widać było smugę niebieskiego światła, które rozlewała ampulka u sufitu w sypialni Heleny, drzemiącej z obwiązaną głową na szeslongu.

W tej ciszy złowrogiej wszystko zdawało się wyczekiwać czegoś z zapartym oddechem; czego?... nie śmiał nikt wyznać przed sobą otwarcie.

Filip z otwartymi oczyma utkwionymi w jeden punkt nieruchomie dumał, zdawało mu się, że jakaś świetlana, przejrzysta mgła wypełnia cały pokój, że coś, niby szarzejący świt, rozprasza ciemności nocy, potem zdawało mu się, że fotel z nim razem unosi się gdzieś i spada, jakby w bezdenną jakąś przepaść powolnym ruchem, czuł, że go ogarnia senność niezwalczona, że mu powieki ciążyą jak ołowiem i że nie pomoże nic walka ze znużeniem, pokonywanem za długo samą siłą woli.

Usnął...

W śnie ujrzał się w swej pracowni, przy pracy, białe jakies fantastyczne posągi ogromnych rozmiarów zapełniały refektarz, różne postacie skrzydlate nieruchomie wznosiły się na swoich piedestałach, a w pośrodku olbrzymi „Anioł śmierci” pochylał się nad trupem dziecka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Listopadzie 1886 r.

Ustąpienie marszałka krajowego dra Zyblikiewicza. — Szóstoletni okres jego działalności. — Przygotowania do przyszłorocznej wystawy rolniczo-przemysłowej. — „Z za Dunaju nad Nil wspomnienia podróży po Egipcie”, przez Anę Neumanową — Nieustająca wystawa sztuk pięknych. — Teatr — Upadek sceny. — Gwałtowna potrzeba reformy.

Choroba i rezygnacya marszałka krajowego dra Zyblikiewicza zajmują w tej chwili uwagę powszechną Lwowa i całego kraju. Co do stanu zdrowia, niebezpieczeństwo minęło, dzięki bardzo gorliwym staraniom tutejszych lekarzy, a głównie będącego nieodstępnie przy łóżu chorego dra Hoszarda. Wezwany z Warszawy dr. Chałubiński nie przyjechał, otrzymawszy telegram z doniesieniem, że przesilenie szczęśliwie przeminięło. Rezygnacya Zyblikiewicza z posady marszałka kraju dotknęła boleśnie wszystkich,

komu tylko nieobojętny dobrobyt kraju i pomyślny rozwój spraw autonomicznych. Dr. Zybliekiewicz pojmował w całym znaczeniu obowiązki swego stanowiska i z jasno wytkniętym programem dążył energicznie do spełnienia przedsięwziętego zadania. Zasadniczą myślą tego programu był wzrost ekonomiczny kraju, podniesienie jego dobrobytu we wszystkich możliwych kierunkach, szerzenie oświaty elementarnej, jako niezbędnego ku temu warunku i przestrzeganie ściśle zawarowanej ustawami autonomii. I to było właśnie, co mu przysporzyło tak wiele trudności do przewalczenia i tyle goryczy, że znękany tą nieustanną walką, postanowił wreszcie podać się do dymisji. Na wieść o tem kilkudziesięciu marszałków powiatowych wysłało telegram zbiorowy do prezesa ministrów hr. Taaffego z prośbą, aby dymisja dra Zybliekiewicza nie była przyjętą. Jest to piękne, zaszczytne świadectwo zasług obywatelskich ustępującego marszałka.

Przemysł krajowy, zawdzięcza wiele Zybliekiewiczowi. Pierwszy to był marszałek krajowy, który peryodycznie odbywał objazdy po kraju dla rozpatrzenia się w stosunkach miejscowych rozmaitych okolic i popierania odpowiedniego każdej okolicy przemysłu. Tak głównie jemu zawdzięcza swój pomyślny wzrost ostatnimi czasy tkactwo krajowe, zatrudniające w obecnej chwili kilkanaście tysięcy warstatów ulepszonej konstrukcyi, na szerokiej przestrzeni wzdłuż Podgórzia Karpackiego. Ku popieraniu głównie przemysłu i gospodarstwa wiejskiego przeprowadził w sejmie ustępujący obecnie marszałek utworzenie banku krajowego, którego czynność w wytkniętym statucie kierunku przyczyni się wielce do przeprowadzenia z czasem ogólnej melioracyi gruntów, podnoszącej dochody, a zatem i wartość ziemi. Gorąco zajmował się też marszałek Zybliekiewicz uporządkowaniem funduszów szkolnych, zakładaniem elementarnych szkółek w gminach ubogich, które dotychczas szkół tych nie miały, a zapomnieć i tego nie można, że za jego marszałkostwa założone zostały w kilku miejscach z funduszy krajowych początkowe szkoły rolnicze dla włościan.

Projektowana na rok przyszły wystawa krajowa w Krakowie otworzy szerokie pole spółzawodniczego popisu naszym przemysłowcom. Dzisiaj już zajmują się nią tutaj we Lwowie bardzo gorliwie, a w pracowniach rękodzielniczych zaczęto krzątać się około przygotowania wyrobów przeznaczonych na wystawę. Zapobiegliwi z tutejszych przemysłowców i rękodzielników nie chcą spuszczać się na ostatnią chwilę, lecz wcześniej zabierają się do pracy, w myśl włoskiego przysłowia, że „Przed kim czas, przed tym wszystko“. Wystawa będzie otwarta prawdopodobnie podczas zapowiedzianego przyjazdu do Galicyi arcyksięcia Rudolfa, następcy tronu, którego komitet wystawy ma zaprosić na protektora. Będzie to także jedną więcej pobudką dla przemysłowców i rękodzielników posyłających swe wyroby na wystawę, aby sprościli podjętemu zadaniu i w jaknajlepszym świetle się przedstawili. Urządzona przed laty dziesięciu we Lwowie krajowa wystawa rolniczo-przemysłowa powiodła się bardzo pomyślnie i okazała, iż posiadamy wiele rzeczy, z których tylko umiejętnie skorzystać potrzeba, ażeby pożytek niesły krajowi. Wyroby rękodzielnicze i fabryczne, szczuplej, niestety, liczby fabryk krajowych, były przeważnie bardzo dobre, a nawet doskonałe, mogące śmiało walczyć z zagranicznymi. Oile upłyniony lat dziesięć posunął naprzód nasz przemysł i rękodzielnictwo, okaże wystawa krakowska. W krajach bogatych, gdzie ruch przemysłowy i fabryczny rozwija się na wielką skalę, okres lat dziesięciu może znaczne przynieść postępy. My nie możemy się tego spodziewać, a przecież znajdują się działy, w których w porównaniu z wystawą lwowską okaże się postęp widoczny. Na nasz kraj ubogi i niewesołe stosunki ekonomiczne i to już będzie wiele.

W ogólnym zastoju wydawniczym dającym się u nas bardzo czuć od niejakiego czasu, miłą niespodzianką sprawiła książka, nosząca poważny tytuł dla turysty i etnografa, równie, jak

i dla szerokich kół publiczności: *Zza Dunaju nad Nil, wspomnienia z podróży po Egipcie*, przez Annę Neumanową. Wschód ma zawsze dla nas coś uroczonego. Lubimy się zwracać wyobraźnią ku temu społeczeństwu tak zupełnie od naszego odmiennemu, posiadającemu w całym swym życiu i obyczaju tak wiele oryginalnej właściwości, niezatartej dotychczas chłonącą wszystko cywilizacyą kosmopolityczną. Jakoż książka p. Neumanowej byłaby ciekawą już z samej treści, gdyby nawet zalet jej nie podnosiły wdzięk pióra, trafność spostrzeżeń, wreszcie sumienna skrzętność w gromadzeniu historycznych szczegółów, wiążących się z przeszłością miejsc zwiedzanych i opisywanych. P. Neumanowa, jako małżonka konsula austriackiego w Bulgarii i Rumunii, przeniesionego przed laty kilku do Kairu, miała sposobność doskonale poznać obyczaje tych krajów, gdzie dłuższy czas przebywała—zwłaszcza Egiptu, który, postanowiwszy opisać, starała się poznać dokładnie i studyowała szczegółowo.

„Cztery przeszło lata, temi słowy zaczyna swą pracę, przebyłam bądź u podnóża Bałkanów Bulgarii, bądź w stoku Karpat Siedmiogrodzkich, w pobliżu skał i wirów Żelaznej Bramy. Nasłuchałam się do woli i fujarek rumuńskich i dumek bułgarskich. Już mnie też i nudzić zaczynał Dunaj stary, co, siwą falą swą trącając o wieże Sewera, o słupy Trajana, o sarkofagi i ruiny starożymskie, codziennie gwarzył mi o swej dawnej sławie! Toż w samą porę przyszło mi wędrować znad Dunaju nad Nil, i od pierwszych bram Wschodu przenieść się na jego uroczyste tajemnicze krańce; na tę ziemię, co z łona Nilu pocałunkami słońca do życia zbudzona, przez przeciąg 6,000 lat dźwiga groby swych królów i świątynie swych bogów.“

Wstęp powyższy zaznajamia nas bliżej z autorką, a zarazem daje próbkę jej stylu, którym cała książka jest napisana. Prostota opowieści, wyrazistość obrazowania i ton poważny w ustępach historycznych, wiążą się z wdziękiem poetycznym który pociąga i stanowi jedną z zalet pióra p. Neumanowej. Stara się ona podać ile możności dokładny wizerunek świata, który tam poznała a do którego miała przystęp ułatwiony z powodu urzędowego stanowiska męża.

Opis podróży morskiej, portu w Alexandryi i samego miasta, następnie drogi do Kairu, bardzo ożywiony, pełen drobnych a charakterystycznych szczegółów, nadających obrazowi właściwy miejscowy koloryt. Autorka stara się poznać wszystkie warstwy społeczeństwa egipskiego i przedstawia je w świetle, w jakim je zbliżka ujrzała i zbadała. Bardzo zajmujący jest opis haremów, z powodu odwiedzin sultanki żony kedywa, jego siostry, tudzież matki byłego wicekróla Izmaela, trzeciej żony Ibrahima Baszy. Haremy młodszych księżniczek wogóle mają już urządzenie przeważnie europejskie, ale obyczaj staromuzułmański w wielu rzeczach pozostaje jeszcze ściśle zachowanym, a w haremie staruszki matki Izmaela przedstawił się w całej swej pierwotnej wschodniej okazałości.

Obszerniejszy ustęp poświęca p. Neumanowa architekturze egipskiej, opisuje meczety Kairu i obrzędy religijne, sekty derwiszów, dalej uroczystości arabskie, obrzędy weselne i połączone z niemi zabawy, wśród których tancerki i kuglarze, polykający węże i żarzące węgle, niepospolitą odgrywają rolę. Śmierć i pogrzeb matki wicekróla teraźniejszego, następcza autorce sposobność opisu obrzędu pogrzebowego u Arabów; dalej znajdujemy tu opis ceremonii przy wyjściu karawany pielgrzymiej do Mekki i nadzwyczaj zajmujący, z natury skreślony, obraz uroczystości *Mussim el Kalig*, upust wód Nilowych dla nawodnienia okolic nadbrzeżnych, która to uroczystość, zdawien dawna obchodzona w Egipcie, jest jednym z najradośniejszych dni świątecznych dla tautejszej ludności.

Zaznajomiwszy czytelnika ze społeczeństwem arabskiem w stolicy Egiptu, przedsiębierze autorka wycieczki dla zwiedzenia osobliwości i zabytków starożytnych, które Egipt posiada. Zwiedza Gizę, piramidy, Port Said, Suez; obok opisu przedmiotów i miejsc zwiedzanych, roztacza przed nami świat legendowy, świat podan

mistycznych do miejsc tych przywiązanych, przemawiający urokiem fantastycznej przeszłości zpoza mgły wieków czterdziestu, lub kreśli wspomnienia historyczne, do czego służy jej za podręczniki dawniejsze opisy Egiptu autorów francuzkich, i innych, jak Ampera, Masperona, Beauregarda. Część historyczna, naukowa, wiąże się tu z żywym, pełnym kolorytu miejscowego opisem teraźniejszości i tworzy zajmujący wizerunek dalekich krain i ludzi.

Nieustająca wystawa sztuk pięknych zasila się ciągle czemś nowem, godnem widzenia. Choć z ubolewaniem wyznać potrzeba, że publiczność nie zajmuje się nią w takim stopniu, jak na to rzeczywiście zasługuje. Póki miewaliśmy wystawy doroczne, trwające po kilka tygodni, każdy mniej więcej umięjący ocenić wartość sztuki, a przynajmniej roszczący sobie prawo do jakiegotakiego znawstwa i zamiłowania, śpieszył, aby skorzystać ze sposobności oglądania wystawy przed jej zamknięciem. Dzisiaj, gdy wystawa jest nieustającą, nikt się nie śpieszy, by ją obaczyć, każdy odkłada to na później i traci przez to najcenniejszą sposobność ujrzenia dzieł nieraz bardzo pięknych, które przebywszy jakiś czas we Lwowie, wracają do Krakowa, stracone dla opieszalych, co nie pośpieszyli w porę, aby je zastać jeszcze tutaj. Tak obecnie mamy na wystawie Matejki przepyszny portret śp. Szujskiego, jako rektora Akademii Jagiellońskiej, i przesliczny szkic wzięty z życia Wschodu: *Utopienie odaliski*. Potrzeba się więc śpieszyć, bo obadwa te dzieła naszego mistrza nie długo zapewne pozostaną we Lwowie, a i oprócz tego znajdują się na wystawie rzeczy godne uwagi, młodszych malarzy, które także niebawem ustąpić mają miejsca innym oczekiwany.

Sprawą teatru zajmują się tu w pewnych zwłaszcza kołach bardzo gorliwie od niejakiego czasu. Wiadomo, że dyrekcya obecna, która objęła teatr po śmierci śp. Jana Dobrzańskiego, otrzymała koncesyą na prowadzenie go tylko do Wielkiejnocy. Pytanie więc: kto obejmie dyrekcję teatru nadal od Wielkiejnocy, czy się utrzyma dyrekcya dzisiejsza, czy też ktoś nowy otrzyma klucze lwowskiego Talii i Melpomeny przebytku? Kandydatów i zabiegów nie brak. Pytanie zatem kto się utrzyma przy kierownictwie sceny, jest rzeczywiście bardzo ważne; albowiem scena lwowska znajduje się od czasu jeszcze śmierci śp. Stanisława Dobrzańskiego w ciągłym upadku, który do bardzo smutnych doszedł już rozmiarów. Zapanowała na niej wyłącznie prawie operetka, skaziwszy ostatecznie smak publiczności, która już dzisiaj tylko za lekką oglądają się muzyką i za błazeńskim, operetkowym kamizmem. Dramatu i komedji od dawna tak, jakbyśmy nie mieli. Zajmują one bowiem na scenie tutejszej bardzo podrzędne stanowisko. Na śmiech szyderski naraziłby się, ktoby dzisiejszą scenę lwowską nazwał, jak bywało dawniej za czasów Jana Nep. Kamińskiego, szkołą czystości języka, dobrego smaku, swojskiego obyczaju i cnót obywatelskich. Dopóki żył Jan Dobrzański, który był równocześnie właścicielem i redaktorem „Gazety Narodowej“ i dyrektorem teatru gazeta była nieustanną dla teatru reklamą, wychwalała pod niebiosa wszystko, co się działo w teatrze i repertoar i reżyseryą i zapobiegliwosć dyrekcji, a publiczność, idąc na lep tej nieustannej reklamy, wierzyła naprawdę, że posiada teatr doskonały, i coraz bardziej smakowała w tym pokarmie, który jej tak bardzo chwalano. Inne zaś dzienniki lwowskie, nie śmiały występować z surowszą krytyką, wbrew „Gazecie Narodowej“, aby nie toczyć walki z ostrem piórem jej redaktora. Dopiero po śmierci J. Dobrzańskiego, rozwały się usta recenzentom naszym teatralnym i zaczęto oceniać ze sprawiedliwszego, bezstronnego stanowiska teatr i dyrekcję. Oceny te dopiero teraz odsłaniają prawdziwy stan naszego teatru i okazują do jakiej doszedł ostateczności. Nawet sama „Gazeta Narodowa“, zmieniwszy właściciela, zupełnie inaczej zapatruje się już na stan teatru. Z tego wszystkiego widać, że nowa dyrekcya, mająca objąć kierownictwo teatru od Wielkiejnocy, czy to pozostanie nadal dzisiejsza, czy też inna na-

stąpi, będzie miała trudne, a zarazem chlubne, zadanie wprowadzenia sceny lwowskiej na inne lepsze i szlachetniejsze tory, odpowiednie zadaniu sceny stołecznej.

Władysław Zawadzki.

Kronika działalności kobiecej.

— Wystawa Szkiców mieści wiele i pięknych okazów pędzla kobiecego, tak w dziale sztuki właściwej, jak i stosowanej. W dziale pierwszym jest wystawczyń pięć, a mianowicie: pp. Bilińska (bardzo piękne akwarelle), Brodzka, Eydziatowiczowa, Poswikowa Bronisława, Stankiewiczówna Zofia. Dział drugi liczy ich siedm; pp. Gersonówna Jadwiga, Kotarbińska Lucyna, Kuczyńska, Lewenberg Laura, Miniewska Izabella, Poświkowa Bronisława, Trzcńska — wystawiły znaczną ilość przedmiotów domowego użytku ozdobionych malowaniem na porcelanie, drzewie, materji, skórze. Zatrzymują oko zwiedzających okazy wystawy p. Poswikowej: ekran przed kominek z wdzięcznym krajobrazem i roślinami leśnymi, rami dębowe u zwierciadła z pięknym wieńcem róż, śliczne filizanki w kwiaty nie ze wzorów, ale z natury malowane we własnym p. Poswikowej układzie. Udziela ona zbiorowych lekcji malowania kwiatów z natury w pomieszkaniu swoim (Żurawia N 21) dwa razy tygodniowo, we Wtorki i Czwartki po obiedzie, za opłatą miesięczną rs. 8; lekcyje są dwugodzinne.

Bardzo ładne są drobne przedmioty p. Jadwigi Gersonówny, i p. Trzcńskiej tak zwane saszetki, to jest jedwabne woreczki, napełnione pachnidłem dla udzielenia ich zapachu bieliznie. Saszetek tych jest na wystawie bardzo dużo, sądzić więc można, że panie wyjeżdżające do wód za granicę, już nie będą ich tam kupować, jak to dotąd bywało, mając taki ich wybór w kraju, a nadmienić wypada, że pędzel p. Poswikowej i w tym dziale ładnych drobnostek stworzył rzeczy miłe dla oka. Malowań na porcelanie jest też bardzo wiele, wystawiła je między innymi p. Izabella Miniewska, która, jak wiemy, objęła zakład nauki malowania po hr. Maryi Żubieńskiej. Prócz tego, to jest prócz zbiorowych lekcji malowania na porcelanie, udzielanych w zakładzie swoim: Królewska N 27, p. Miniewska przyjmuje także do wypalania porcelanę, malowaną na mieście, i pod tym względem zakład jest bogato uposażony. Posiada on trzy piece. Jeden duży, opalający się rzadziej, bo tylko dla znaczniejszych już partji porcelany w garniturach większego rozmiaru, dalej dwa mniejsze, z których jeden zupełnie mały, świeżo sprowadzony z Paryża i najlepszej przez najświetsze udoskonalenia konstrukcyi, opalony bywa dwa razy tygodniowo, w Czwartki i Poniedziałki dla dogodności amatorów, które pragną mieć wykonane przez siebie malowidła ostatecznie wykończone bez długiej zwłoki, co nie zawsze może mieć miejsce, gdyż piec duży opalać się może wtedy tylko, skoro dostateczny zapas porcelany do wypalania się zbierze. Przytem w wielkim piecu drobne przedmioty mogą łatwo zostać uszkodzone. Ceny za wypalanie u p. Miniewskiej są wedle wielkości przedmiotu od 10 gr. do 2 złotych za sztukę. Za dekoracyą złotem lub kolorem dolicza się po kilka lub kilkanaście groszy. Za dobroć wypalania zakład ręczy.

Niemcy wypędzają nas z ziem, których nawet oni sami nie mogą nazwać swemi właściwie, ale do nas wciskają się na wszelkie możliwe stanowiska i tu oto znalazł się Niemiec z konkurencyą swoją. Dotychczas było w Warszawie tylko dwa zakłady wypalania malowideł na porcelanie: p. Cybulskiego do wielkich już partji, i p. Miniewskiej, do średnich i małych, co na nasze stosunki starczyło najzupełniej. Obecnie przecież zjawil się Niemiec i zręcznie praktykę sobie wyrabia, a wszyscy wiemy, jak ci przybysze zręcznie urządzać to umieją.

— Wystawa sprzętów i odzieży, urządzona

przez Warszawskie Muzeum Przemysłowe może być uważaną niemal za wystawę pracy kobiecej i liczy też wystawczyń kilkadziesiąt. Zakładów rękoźmielniczo-przemysłowej pracy kobiecej, które są w tym kierunku szkołami, wystąpiło sześć: pp. Korycińskiej, Leśniewskiej, Rossowieckiej, Swinarskiej, Zabczyńskiej, oraz Szwalnia Ubogich Dziewcząt, utrzymywana przez Warsz. Towarzystwo Dobroczynności w gmachu b. Dominikańskim. Żałować trzeba, że cofnął się od konkursu podobnego rodzaju zakład hr. Cecylii Zyberg Platerówny — zakład wielce w tym kierunku zasłużony i któremu należy się tu miejsce wybitne ze względu, że daje uczennicom swoim pewne wykształcenie umysłowe, które podnosząc stopień ich inteligencyi, pozwala na używanie metod pracy, na tej rozświeconej już inteligencyi opartych.

Świeży w mieście naszym przemysł koronkarski liczy wystawczyń 12, przedstawiają go: pp. Bierzyńska, Doboszyńska Dziegielewska, Dietz. Foelkersohn, Friedman, Kadlerowa, Karasiewiczowa, Krasuska, Smoleńska, Statkiewiczowa, — firma „Wanda“, p. Salzyńska wystawia robotę szydełkową, która jest tylko odmianą koronkarstwa, przepiękne koronki irlandzkie, to przecież robota szydkowa, wykonana nicią koronkową Hafty mają wystawczyń 9, pp: Bierzyńska Józefa, Braun, Faleńska, Koch, Niecielska, Smoleńska, Swinarska, Tokarzewska, Wyrzykowska. Kwiaty wystawiają pp: Fiszerowa, Karska, Kozłowska, Siwinka, Szymkiewiczowa. Dżety p. Święcka, pościel p. Rościszewska firma „Matylda.“ Wyroby pończosznicze pp: Fijałkowska, Leśniewska, Puławska, Sobczyńska, Sulzyńska. Weissenhofówna. Sztuczne kamienie, p. Marya Drasch, p. Jastrzębska drobiazgi do ubioru kobiecego potrzebne.

Przedmioty sztuki stosowanej do przemysłu, mają zastęp wystawczyń znaczny, mianowicie pp: Adelstein, Berg, Danielska, Gażyczowa Marya, Kanigowska, Krasuska, Krasowska, Janiszewska, Jasińska Gabryela, Lewenberg, Milicerowa, Miniewska Izabella, Marszandowa, Miller, siostry Nostitz-Jackowskie, Poświkowa Bronisława, Romanówna, Rodziewiczówna Józefa.

— Hrabina Augustowa Potocka z Wilanowa, przyjęła protektorat nad Wystawą Hygieniczną.

— Do nagrody za długoletnią służbę w jednej rodzinie pracodawców, powstałej z zapisu s. p. Adama Chojackiego, a która w roku bieżącym przypada dla kucharek, wystąpiło 25 kandydatek. Z pomiędzy tych przyznano je dwom, którym najdłuższa liczba lat w zawodzie swoim dawała pierwszeństwo nad innymi. Wiktorya Wszolek, mająca za sobą 32 lat służby u jednych pracodawców, otrzymała pierwszą nagrodę: rs. 150; Maryannie Krajewskiej za 31 lat takiejże służby przyznano drugą w summie rs. 75. Wielka szkoda, że nie zostały podane do wiadomości publicznej nazwiska pracodawców, bo i tu należy się ze strony ludzi dobrej woli przyznana im nagroda — uczutego szacunku.

— W Grodnie szerzy się między ubogimi robotnicami, szwaczkami, okrutna choroba głodowa, której szczególnie ulegają dziewczęta wyznania moższowego, pracujące po 14 godzin dziennie za opłatą 2—3 rs. miesięcznie. Straszna rzecz! straszna rzecz!

— Na Wołyniu pod miastem Równem, zmarła sędziwa, 101 lat licząca włościanka, Agnieszka Kutwiakowa, której niezwykle dzieje życia dają prawo do wspomnienia pośmiertnego. Wstąpiła ona obok męża w 1812 roku do armii Napoleona, jako markietanka; była świadkiem krwawych walk 1813 r., w 1815 r. została zapisaną do armii Królestwa Polskiego, zawsze przy boku męża. W roku 1832 zamieszkała w Paryżu, i dopiero owdowiawszy wróciła do kraju w 1854 r. i zamieszkała przy zamężnej swej wnuczce, gdzie też zamknęła oczy, które widziały tak wiele i tak niepospolitych rzeczy!

— Róża Yokay, żona znanego powieściopisarza, umarła w Peszcie dnia 20 Listopada i jestto bardzo ciężka, bardzo bolesna strata dla męża, wiernie i silnie kochanego przez szlachetną kobietę, z którą przeżył w miłości i zgodzie lat 38. W chwili poznania ją przez Yokaję, była ona

artystką dramatyczną, a warunki teatru węgierskiego znajdowały się wtedy w stanie takim, że zawód aktorski przedstawiał się jak jakaś patryotyczna, na korzyść idei narodowej poświęcona praca. Peszt był wtedy miastem niemieczalą; niemieczaląmi były klasy społeczeństwa wyższe, przynajmniej w obyczaju swoim, i zdawało się, że tak elegancja towarzyska, jak wszelkie wyższe tory życia muszą brać sobie wzory z Wiednia, pod karą pospolitości i schłopenia. Dramatyczna sztuka węgierska była też poniżoną; pogardzano nią, nie wierząc, aby mogła wznieść się do rodzajów wyższych, i z tego powodu Yokay, młodzieniec wtedy, przeprowadził burliwą rozprawę w pewnym towarzystwie niemieczalych Madziarów, nie mogących uwierzyć, aby narodo-wa ich scena mogła zostać podniesioną do godności prawdziwej sztuki. Namiętny młodzieniec, chcąc dowieść tego, co utrzymywał, napisał historyczny dramat węgierski w przeciągu jednej doby, nie biorąc w usta nic, prócz chleba i wina. znajdujacego się w pokoju, gdzie zamknął się z muzą swego zapału. Gdy rzecz wyskoczyła już z jego mózgu, a raczej ze wzburzonego serca i palającej się wyobraźni, pobiegł późnym już wieczorem, nocą prawie, do primadonny biednego węgierskiego teatru, której przeznaczał główną rolę bohaterki w dramacie napisanym. Klął przed nią i zaklął na wszystkie świętości węgierskie, aby wyczyła się sztuki przez dzień następny, czego też dokonała, tak jak i inni aktorowie, mający grać w nowej sztuce i przy współdziałaniu młodych druchów i kolegów Yokaję, w których liczbie był i Petöfi, wszystkie przeszkody zostały usunięte, dekoracye i tym podobne szczegóły, stworzyły się tak czarodziejsko, jak sam dramat, który we trzy dni potem został odegrany. Publiczność, uczciwie węgierska, przyjęła go z uniesieniem; zrobił się rumor w całym mieście, a poeta ożenił się następnie z artystką, która go od-czuła i umiała wlać w jego kreacyą gorące życie swego serca. Małżeństwo to zostało zawarte w 1848 r. Yokay przedstawił kilkakrotnie w powieściach swoich szlachetne postacie kobiece, w których publiczność węgierska odgadywała rysy charakteru, lub okoliczności życia jego zawsze jednakowo ukochanej żony, która długo jeszcze po za męża pozostała aktorką. Stracił taką towarzyszkę życia, która nie w pierwszych uniesieniach młodej miłości, ale w spokoj-nem i wieloletniem biegu wspólnego życia, dawała mężowi wzory do przedstawiania idealnych stron kobiecości — co za cios ciężki, jakie osieroczenie bolesne! Córka Yokaję, zdaje się, że nosząca imię matki, jest utalentowaną malarką, która się kształciła w Monachium pod kierunkiem najlepszych mistrzów pędzla.

— Praca kobiet greckich przedstawia nieznaną w innych krajach stosunki, a dodac można, stosunki szczęśliwe — tak szczęśliwe, że gdyby ekonomiczne względy innych narodów pozwalały na to, należałoby je brać za wzór do naśladowania. Lud grecki nie może ścierpieć pracy fabrycznej i daremnie pod panowaniem królów krwi niemieckiej usiłowano zaszczepić tam przemysł fabryczny — daremnie chciano wznosić fabryki w różnych okolicach kraju. Nigdzie nie udało się otrzymać takiej siły robotniczej, któraby była w ilości dostatecznej stałą i pewną; trzeba też było zwiąć fabryki już wzniesione i nie myśleć o zakładaniu innych. Szczęśliwy klimat, obyczaje skromne i grunt dość żyzny, aby wyżywił zrodzoną na nim ludność, były przyczyną tego stanu, który zmienić się nie dawało i nie daje dotąd przez żadne zabiegi kapitalistów, i przemysł miejscowy musiał się ograniczyć do wyrobu ręcznego, domowego. W tym kierunku też rozwija się w następstwie rzeczy i praca niewieścia, nad którą rozciągnęła opiekę pewna liczba pań znacznych, zdolnych podnieść ją do wymagań wykształconego smaku społeczeństw nowożytnych. W głębi rzeczy tkwi głównie ta myśl obywatelska, aby przemysł miejscowy, zadawalając potrzeby klas bogatszych, nie dopuszczał ubożenia się kraju przez towar dowozowy. W Atenach, jako w stolicy kraju istnieje szkoła pracy kobiecej i zarazem na wielką skalę prowadzona pracownia ręcznego przemysłu kobiecego, nazwana jednym,

stosunki te wyrażającym mianem nowo-greckiego języka „Ergastirion.“ W potocznej mowie ludności ateńskiej ta szkoła-pracownia nazywa się zwykle „Olimpia“ z powodu, że mieści się na placu kolumnady ze starej świątyni Olimpijskiego Zeusa.

„Ergastirion“ czy „Olimpia,“ jest to jakoby punkt główny, zarodkowy dla podobnej pracy w całym kraju, który tu się uczennice, ztąd czerpie wzory i kierunek, odpowiadający potrzebom przemysłu miejscowego, a niemiecki podróżnik, Edward Engel, który zakład ten zwiedzał i badał go pod rozmaitemi względami, uważa go za rzecz tak pożyteczną, tak szczęśliwie pomyslaną, że rzuca pytanie: załoby i w krajach innych nie można wznosić z podobnych Ergastirionów, dzwigających ręczny przemysł niewieści i nie dopuszczających całkowitego zagarnięcia sił pracującej kobiety przez fabrykę, która nie zapewnia robotnicy, ani materialnego, ani moralnego dobrobytu?

Ergastirion Ateński został wzniesiony w 1872 r., bardzo niewielkimi, można powiedzieć małymi środkami, bez żadnego kapitału zakładowego i cel jego pierwotny był głównie dobroczynnym. Chciano dać jakiś zarobek sierotom i wdowom ubogiem, aby nie żyły z jałmużny, lecz zaczęło się tu cisnąć coraz więcej robotnic i gdy rzecz zarysowała się szerzej, niż twórczyni jej wyobrażała ją sobie, gdy spostrzeżono, jakimi być mogą jej skutki—jak wyroby Ergastirionu mogą walczyć z towarem fabrycznym, kobiety zamożne wzięły to zadanie do serca. Znać nowożytnie Greczynki umieją kochać ojczysty kraj, niemniej jak dawne. Nie umierają ofiarniczo, jak Ifigienia, ale żyją, aby wytrwale przeprowadzać myśl szlachetnie powziętą, i oto zakład przez nie wzniesiony, jest może jedną z przyczyn, że przy pomocy ńędzy i głodu rodzin pracą fabryczną niesforsowała zba-wiennego do niej wstępu ludności Greckiej.

Wyjąwszy jednego stróża, który budynków Ergastirionu pilnuje i jest jego siłą zbrojną, cały zarząd zakładu spoczywa w rękach niewieścich. Pracuje tu czterysta dziewcząt i kobiet, w rozmaitych kierunkach pracy. I tak: tkają tu na ręcznych krosnach najpyszniejsze materye jedwabne, które co do trwałości przewyższają, a w piękności nie ustępują lyońskim; wyrabiają jedwabne tiule w desenie rozmaicie broszowane, naprzykład przetykane złotem, przepiękne welony dla panien młodych, różne tkaniny wełniane, bawełniane, mieszane,—rozmaity towar, wykonywany na zamówienie według próbki, lub na skład, co wszystko odbywa się w wielkich, wysokich, przewiewnych salach, pod okiem nie takich, jak w fabrykach, przełożonych mężczyzn, często grubijanów i ludzi, w stosunku do kobiety mało sumiennych, ale pod rozumną i uczciwie strażą starannie do tego urzędu dobranych matron. Zapłata nie jest na dnie, ale od sztuki, a skoro zarząd zakładu piękniejsze towary drożej sprzedaje, robotnice otrzymują zapłatę wyższą. Nauka jest zawsze i dla wszystkich darmo.

Wyrabiają się tu bardzo piękne materye melblowe, kobierce według wzorów wiejskiego tkactwa, które silnie przypominają smak starogrecki; koronki z nici jedwabnej, złotej, oraz ze zwykłej koronkowej. Haftuje się złotem, srebrnem, jedwabiami na rozmaitych materyałach, tak na zamówienia, jak na skład. Rząd nie daje tu żadnej zapomogi, bo obecnie zakład opłaca się sam, nawet ma zyski niepoślednie, tylko w razie jakiego zapotrzebowania rząd tu się zwraca z zamówieniami roboty. Gdy w czasie obecnych zamieszek Bułgarskich, gotowano się do zmobilizowania wojsk greckich, tu się zwrócono z zamówieniem potrzebnej bielizny, a robotnice unie-

sione uczuciem miłości kraju, uszyły darmo pierwsze 500 koszul dla rekrutów.

Z Ergastirionem złączoną jest szkoła pielęgnowania chorych kobiet, a także żłobek i ochrona, szkółka dla dzieci, tak, że zameżne robotnice, zabierają ze sobą dzieci i pracują w słodkim spokoju serca, niezatrutym troską tej myśli, że dziecko ich psuje się na ulicy, lub wystawione jest na okrutny jaki przypadek. Hafty złotem na axamicie, lub gazie jedwabnej wykonywają się według wzorów, odszukanych na Eubei, w Epirze, na wyspach Egijskiego morza.

DROBNE LISTKI.

— **Odkrycie Bieguna Północnego** stało się znowu celem wyprawy, urządzonej przez amerykańskiego podróżnika w strefy podbiegunowe, pułkownika Gilder. Gilder rozpoczął podróż swoją przez Kanadę i dotarłszy do najdalej na północ położonego jeziora prowincji Winnipeg, puścił się w początkach Października rzeką Nilson, aby u jej ujścia do Zatoki Hudsonskiej przemieścić w Port-Nilson, gdzie znajdzie sobie potrzebnych mu do dalszej podróży Eskimosów i zabrawszy ich ze sobą puścił się wczesnym latem w kierunku bieguna na statku wielorybniczym. Ma nadzieję, że tym sposobem dostanie się do Lancastersund, a może nawet dalej, do Jonasund, gdzie chce przebyć zimę z r. 1887 na 1888, a następnie porą letnią dobieć się do opuszczonej stacyi podbiegunowej Greeleygo — do Fort Congor nad zatoką Lady Franklin, gdzie znajdzie i obejmie w posiadanie złożone tam zapasy. O dalszej podróży stanowić będzie stan lodów; zamiarem Gildera jest przecieć, aby opłynąwszy brzegi Grenlandyi, posuwać się w kierunku drogi porucznika Lockwooda z wyprawy Greeley'a, który osiągnął już do 82° 24' szerokości. Gilder pragnie choćby już nie dostać się do bieguna, to posunąć się coś dalej w stronę nietkniętą jeszcze przez wiadomą nam stopę ludzką.

— **W archiwach ratusza poznańskiego** odkrył archiwista tamtejszy, dr Adolf Warschauer, starożytną kronikę, spisana przez jednego z miejskich rajców tamtejszych, a która ma mieć ważny materyał historyczny tak dla wewnętrznych dziejów Polski z wieku XVI, jak i stosunków jej z Prussakami. Wyjątki z tej kroniki drukować się będą w piśmie niemieckim „Zeitschrift der Historischen Gesellschaft für die Provinz Posen.“

— **Włoski poeta i historyograf włoskiej literatury**, Giosue Carducci, wykończył obecnie nowe dzieło: „Papież, jako poeci.“ Carducci jest dziś najwyższym utalentowanym poetą włoskim, silnie pozytywnych przekonań.

— **Najnowsza opera Rubinstein'a**: „Dzieci lasu“ z wielkim powodzeniem wystawioną została w Kassel.

— **Konik polny i mrówka**, opera komiczna napisana świeżo przez Edmunda Audran i wystawiona w paryżkim „Gaité-Théâtre,“ została bardzo pochlebnie przyjętą przez publiczność i krytykę. Muzyka ma być przesliczna, wesoła i razem tkliwa. Libretto niedorównywa jej wartości.

— **Uczciwe kobiety**, jednoaktowa komedia, mało znanego francuzkiego autora: Becque, grana w Teatrze Francuzkim, podobała się niezmiernie. Krytyka przepowiada, że „Les honnêtes femmes,“ utrzymają się długo w łaskach publiczności. Także w „Théâtre Français“ przedstawioną zostanie wkrótce nowa sztuka Dumas'a

„Francillon,“ Trzyaktowa komedia poety naturalizmu, Jana Richepin: „Monsieur Scapin“ wystawiona w tym teatrze, utrzymała się tylko wyborną grą obydwóch Coquelin'ów. Pierwszy akt miał pewną wartość żywości, dwa następne żadnej, i sztuka nie przeżyje bieżącego sezonu.

— **Munkaczy** wyjechał do Ameryki, gdzie postanowił studyować naturę dziewiczych lasów, w miejscowościach najmniej dotkniętych stopą białego człowieka. Pragnie też puścić się tam samotnie, z jednym tylko służącym i z bardzo małemi zapasami, odziany w suknie najbardziej pierwotne i tak trwałe, aby mu starczyły przez kilka tygodni, które chce przeżyć w pustyni.

— **Francuzki malarz, Klaudyusz Monet**, najenergiczniejszy i najbardziej utalentowany artysta z całej szkoły francuzkich impressionistów, dał dowód wielkiej odwagi i siły woli, malując z natury morze wśród wicheru i nawałnicy, jakie szaleją zwykle o te czasy na wybrzeżach Bretanii. Kazał przymocować sobie sztalugi żelaznemi szponami do skały dość wyniosłej, aby widok z niej był rozległy, i sam podobnie zabezpieczony przeciw gwałtowności wiatru, odziany całkowicie w suknie ze skóry cielęcica morskowego, z takimże kapturem na głowie, to jest w kostiumie rybaków okolicznych, gdy wypływał na połów ryb, malował obraz, który przeznaczony na przyszłoroczną wystawę. Ci, co widzieli szkic, utrzymują, że groza otaczającej go walki żywiołów, wiała w pierś malarza natchnienie, dotąd nieposiadane i że ma się narodzić z tego arcydzieła, zbliżone posępnym swym charakterem do utworów Salvatora Rosy.

— **Jak język przechowuje się u ogniska domowego**, świadczy fakt, podany przez francuzkiego literata Weissa, który w roku bieżącym potrzebując wód homburskich, był zniewolonym tam się u ac. Czyniąc wycieczki w okolice, odkrył nagle wśród obszernego lasu Hardt wieś dużą, jak miasteczko: Fridrichsdor, gdzie niespodziewanie uczuł się jakgdyby przeniesionym w głąb Francyi, bo ludność całej wsi mówiła językiem francuzkim i zachowywała obyczaje francuzkie z XVII wieku. Styl budownictwa, nazwiska ludzi i nawet psów, były również francuzkie, i pokazało się, że to jest kolonia hugonotów, którzy po odwołaniu edyktu Nantejskiego, uszli tu z Langwedocyi i Szampanii. Weiss przyznaje się, że miał serce wzruszone tak, jak nigdy w życiu.

— **Starożytne egipskie perfumy** zostały odtworzone przez młodego francuzkiego starożytnika, profesora historii w Lyonie. Studyjując świątynie egipskie, i odczytując starożytne papyruse, a następnie badając kwiaty doliny Nilu, odkrył tajemnicę robienia dwóch wonnych egipskich olejków „tasi“ i „kiphi“. Posągi egipskiej Wenus były namaszczone pierwszym; drugi służył do domowych obrzędów czci Izydy i Serapisa. Grecyja i Rzym, po zwyciężeniu Egiptu przywłaśczyła sobie używanie tych balsamicznych w onności, któremi nakrapiano szaty rzymskich patrycyuszek i nacierano ciało po kąpielach, namaszczano włosy, a nawet zawoniano niemi wino. Paryż ma je odtworzyć i obiecują, że już tej zimy elegantki tutejsze będą roznosić woń podobną tej, którą rozszerzały w koło siebie Lydye i Lesbie przeszłości.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tyt.: *Jaskółka*, przez Remigiusza Gourmont; oraz arkusz 1-szy powieści pod tyt.: *Ostatni Batory*, przez Mikołaja Josika.

TREŚĆ. Pogawędka. — Ciężkie czasy, III, (dokończenie), przez M. Ilnicką. — Gasnąca dusza, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów. — Kronika działalności kobiecej. — Drobne listki.

Dodatek obejmuje: Dokończenie powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza de Gourmont; oraz arkusz 1-szy powieści pod tytułem: *Ostatni Batory*, przez Mikołaja Josika. — Przegląd mód. — 37 wzorów ubiorów robót wraz z opisem — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozycyą stołu*.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 19 Ноабра 1886 года.